Artur Ławniczak¹

Zarys konstruktywnej krytyki mitologizującej „Wspaniałą Trzecią Władzę” apologetyki²

Słowa kluczowe: judykatura, demokracja, nomokracja

Keywords: judicature, democracy, rule of law

Streszczenie

Kwestia odpowiedniego umiejscowienia sądownictwa w strukturze władzy państwowej oraz charakteru judykatury nie jest błaha. Władza sądownicza generalnie podlega mniejszym przemianom niż reszta aparatu państwowego. Sprawia to, że może powstać wrażenie jej aksjologicznej oraz historiozoficznej przewagi nad bardziej nasączonymi Duchem Czasu legislatywą i egzekutywą. Rodzi to pokusę wzmacniania znaczenia Trzeciej Władzy, domniemanie bardziej odpornej na rozmaite błędy i wypaczenia. Wydaje się jednak, że w sporym stopniu mamy do czynienia ze złudzeniem, ponieważ sądownictwo jest zbyt mocno związane z państwowością, aby można było liczyć na to, że doskonale zachowa swoje stare walory w ponowoczesnym świecie.

Summary

Outline of constructive critique of „Glorious Third Power’s” apology

The problem of the position of judicature in the structures of state power and judiciary’s identity is important. Judicial power generally is less inclined for changes than the rest

¹ Autor jest doktorem habilitowanym w Katedrze Prawa Konstytucyjnego Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. E-mail: lavka@prawo.uni.wroc.pl.

² Artykuł jest zmodyfikowaną wersją referatu wygłoszonego na XIV Seminarium Badaczy Prawa Konstytucyjnego nt.: *Trzecia władza – problemy, wyzwania, osiągnięcia*, które odbyło się w dniach 11–13 października 2016 r. w Jantarze.

of state's machinery. In the effect it's possible the appearance of impression of its axiologic and historiozofic preponderance over more connected with Time's Spirit legislative and executive. So arises the temptation for strengthening of Third Power as more resistant for errors and distortions. However, it is probably an illusion, because judiciary is too strongly connected with statehood, so the hope for resistance of many good ancient values in the corp of judiciary is deceptive.

W Polsce lubi się krytykować władzę, którą obarcza się odpowiedzialnością za rozliczne rzeczywiste lub domniemane nieszczęścia³, nawiedzające obywateli III RP, co nie znaczy bynajmniej, że kiedyś było zasadniczo inaczej, w związku z czym możemy uznać, że niechętny stosunek do sterników państwowej nawy jest dość solidnie ugruntowaną tradycją. Ludzi zajmujących ważne stanowiska w państwie spora część społeczeństwa odruchowo traktuje jako „onych”⁴ – jeżdżących markowymi samochodami, posilających się

³ Zjawisko to nie występuje bynajmniej tylko nad Wisłą i Odrą. Co prawda np. za zachodnią granicą Rzeczypospolitej przyjęte jest raczej wypowiadać się o rządzących pozytywnie lub neutralnie czy też wcale, podobnie jak w azjatyckim odpowiedniku Niemiec, jakim są Chiny z ich konfucjańskim paradygmatem poszanowania dla domniemania wykształconych, chociażby „w ogniu walki klasowej” i rozsądnie skutecznych, skoro udało im się wygrać w niełatwej grze, jaką jest walka o władzę, „pasterzy ludzkiego stada”. Zbliżony model obowiązuje w Rosji, gdzie doskonale znane jest odnoszące się do instytucjonalnie najważniejszych ludzi w państwie powiedzenie *им виднее*. Ale jak spojrzymy na Amerykę Łacińską, to spostrzeżemy szeroko rozpowszechnione nastawienie, przypominające nam rodzime. Wyraża się ono np. w popularnym napisie *Vota nulo! Todos son mierda!*, pojawiającym się na murach podczas kampanii wyborczych, którego nie przetłumaczymy ze względu na obsceniczność.

⁴ Taki właśnie tytuł nosiła głośna w swoim czasie książka Teresy Torańskiej, zawierająca wywiady z czołowymi prominentami Polski Ludowej. Zob. T. Torańska, *Oni*, Warszawa 1985. Kontynuacją tej pozycji, mającą pokazywać zmianę, do jakiej doszło w Polsce w wyniku „okrągłostołowego przełomu”, była książka, wydana już po zastąpieniu „demokracji przymiotnikowej prawdziwą”. T. Torańska, *My*, Warszawa 1994. Z perspektywy czasu można wszakże uznać, że żywione przez niektórych intelektualistów nadzieje na anihilację alienacji klasy politycznej okazały się płonne, bo przecież istnieje szereg prawidłowości czy też nieprawidłowości, mających ponadustrojowy charakter, tym bardziej, jeśli różnica między starym a nowym systemem prawnopolitycznym nie przybiera postaci jakiejś nieprzebytej

w drogich restauracjach i zajętych przede wszystkim jałową rywalizacją w obrębie władającej elity, która pochłania tyle energii, że absolutnie już jej nie starcza na „pochylenie się nad maluczkimi”.

Takie przekonanie jest podsycane przez goniące za sensacją media, które lubują się w epatowaniu swoich odbiorców opisami zachowań najrozmaitszych politycznych celebrytów, trafiających na pierwsze strony tabloidów wskutek wyczynów, jawiących się w powszechnym odczuciu jako niezgodne z zasadami współżycia społecznego. Skutek jest taki, że w masach utrwała się przekonanie co do tego, że politycy przywiązują większą wagę do zaspokajania swoich konsumpcyjnych aspiracji niż do dbania o Dobro Wspólne. „Biedni, szarzy ludzie” przypominają sobie tradycyjny pogląd, zgodnie z którym „oni wszyscy są tacy sami”, co sprawia, że znajduje on sobie poczesne miejsce w skarbnicy ludowych mądrości, gdzie w wieloraki sposób odzwierciedla się brak zaufania do możnych świata tego.

Wydaje się, że w plebejskim odczuciu grupa ta niekoniecznie obejmuje sędziów, zajmujących szczególną pozycję w zinstytucjonalizowanym aparacie państwowej przemocy. Osoby obdarzone kompetencją wymierzania Sprawiedliwości poprzez wyrokowanie zdają się jawić jako ludzie z nieco innego świata.

Taki obraz jest kreowany przez media głównego nurtu, gdzie dominuje przekaz, w którym legislatywa jest rozdarta wskutek nieustannego boju obasadzających ją stronnictw, a władza wykonawcza w nim nieustannie uczestniczy, co ewidentnie widać w telewizyjnych przekazach, gdzie eksponuje się siedzących po prawej ręce Marszałka Sejmu członków Rady Ministrów, będących wszak zazwyczaj równocześnie posłami, co *nota bene* każe się poważnie zastanowić nad słusznością popularnego przekonania o obowiązywaniu w aktualnej Rzeczypospolitej dogmatu podziału władzy⁵. W większym stop-

przepaści, a trudno uznać, że z takim przypadkiem mieliśmy do czynienia w Polsce, skoro mieliśmy w niej do czynienia z konsensualną transformacją ustrojową, opartą na idei łagodnego przejścia z jednego ustroju do drugiego, co byłoby trudne do przeprowadzenia, gdyby istniały między nimi jakieś potężne różnice.

⁵ W swoim dosłownym, *ergo* skrajnym brzmieniu, jest on niemożliwy do przeprowadzenia. Każda doktrynerska próba jego konsekwentnej realizacji prowadziłaby do głębokich zaburzeń funkcjonowania aparatu władzy publicznej, kończących się rozpadem państwowości, gdyby nie doszło do złagodzenia kursu. Warto przecież pamiętać o tym, że nawet w USA, gdzie monteskiuszowskie przesłanie jest realizowane w znacznie większym stopniu niż w Europie, nie mamy do czynienia z absolutną separacją poszczególnych segmentów władzy, skoro

niu dotyczy on sędziów, bo przecież odnosi się do nich zasada *incompatibilitas*, zabraniająca im sprawowania innych stanowisk w zinstytucjonalizowanych strukturach władzy państwowej. Byłoby wszak dziwne, gdyby nie można było podważyć tej reguły, co można dość łatwo uczynić poprzez wskazanie na to, że przecież poniekąd sędzią jest także Prezydent RP, skoro przysługuje mu prawo łaski. Co prawda tłumaczy się maluczkim i innym, że nie narusza ono niezłomności sędziowskich rozstrzygnięć, tym niemniej korzystanie z niego, niejednokrotnie całkiem szczodre, przez głowę państwa, sprawia, że *de facto* staje się on częścią wymiaru sprawiedliwości, jeśli może sprawić, że dosięga ona co poniektórych z mniejszą surowością niż to pierwotnie orzeczono.

Poza tym to przecież właśnie Głowa Państwa dysponuje prerogatywą wręczania sędziowskich nominacji, co poczynawszy od stworzonego przez Lecha Kaczyńskiego precedensu daje jej możliwość niedopuszczenia do sądownictwa osób uznanych przez Najważniejszego Obywatela za z jakichś względów nieodpowiednie. W ten sam sposób postąpił Andrzej Duda, przypominając wszystkim, że sędziowie *in gremio* nie znajdują się w szczelnie

głowa państwa dysponuje kompetencjami odnoszącymi się zarówno do legislatywy, jak i do sądownictwa.

Jeśli chodzi natomiast o Zjednoczone Królestwo, gdzie obowiązuje wszak, funkcjonujący przecież również w Polsce, parlamentarno-gabinetowy system rządów, to trudno jest mówić o tym, że w państwie tym hołduje się monteskiuszowskiemu przesłaniu, choćby czy przede wszystkim dlatego, że perfidny Albion raczej starannie unika na oficjalnej niwie wszelakiego konstytucyjnego doktrynerstwa, w związku z czym trudno jest jednoznacznie stwierdzić obowiązywanie tam jakiegokolwiek z traktowanych na Kontynencie z nabożnością prawnopolitycznych przykazań, zajmujących poczesne miejsce w uroczyscie uchwalanych ustawach zasadniczych. W sporym stopniu służą one zaklinaniu rzeczywistości, która z lubością oddala się od napuszonych fraz, współkonstituujących wydumane schematy, jakie niekoniecznie muszą pasować do realiów europaństw, szczególnie wówczas, gdy są one, jak to ma miejsce w przypadku Rzeczypospolitej, cywilizacyjnie rozdarłe, co sprawia, że aplikowanie w nich jakichkolwiek wyspekulowanych modeli przywodzi na myśl spostrzeżenie Stalina, że budowanie w Polsce socjalizmu jest przedsięwzięciem tak samo trudnym jak osiedlanie krowy. *Nota bene* system parlamentarno-gabinetowy jak najbardziej funkcjonował w Polsce Ludowej i zdaje się, że pasował on lepiej do ówczesnego ustroju, przesyconego russoistycznym, a w zasadzie to odwiecznym przekonaniem o nieuchronnej jedności państwowego władztwa niż do dzisiejszego przekombinowanego modelu, skutkującego niejednokrotnie zacinaniem się mechanizmu władania, w którego paraliżowaniu niepoślednią rolę odgrywa niespójna Ustawa Zasadnicza, konstruowana w myśl zawołania „dla każdego coś milego”, a przecież wszystkim nie da się dogodzić.

izolowanej od otaczającej ich rzeczywistości wieży z kości słoniowej, ponieważ stanowią integralną część leninowskiego „aparatu ucisku”. Odnacza się ona co prawda pewną specyfiką, tym niemniej łączą ją ściśle związki z pozostałą częścią sformalizowanej, opisanej w Konstytucji i uczonych podręcznikach, władzy.

Nasza Ustawa Zasadnicza w art. 10 umieszcza judykaturę obok władzy ustawodawczej i wykonawczej, przy czym ich wzajemne stosunki są opisane za pomocą formuły podziału i równowagi, jaka ma istnieć między trzema władzami⁶. Takie ujęcie sugeruje, że w ustrojowym schemacie powinniśmy mieć do czynienia z jednakowym znaczeniem wyróżnionych przez ustrojodawcę części zinstytucjonalizowanych struktur władania, z czego wynikałoby, że sądownictwo ma, pomimo tego, że jest wymienione na trzecim miejscu, takie samo znaczenie jak legislatywa i egzekutywa, co podkreślałoby jego państwowy charakter, czyli polityczną tożsamość, niemożliwą do zanegowania w sytuacji immanentnego współkonstituowania przezeń władczych struktur. Tak było zarówno przed rozbiorami, jak i w II RP oraz PRL-u i tak samo jest teraz.

⁶ Póki co raczej trudno jest żywić mocne przekonanie co do tego, że mamy do czynienia z rzeczoną równowagą, ponieważ „jeśliby omawiany przepis potraktować poważnie, to mielibyśmy w Polsce geometrycznie idealny ustrój. Trzy podstawowe funkcje państwa, jak ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza, byłyby równo rozdzielone. Każda z tych funkcji wykonywana by była przez dwa organy o odpowiednio rozdzielonych kompetencjach: Sejm, Senat; prezydent, premier; sądy, trybunały (...).

Niestety, żaden z tych warunków nie jest spełniony. Większość polskich ustrojoznawców głosi, że w Polsce mamy do czynienia z przewagą władzy ustawodawczej („sejmokracja”) nad egzekutywą czy z odseparowaniem sądownictwa od pozostałych władz”. K. Complak, *Zasada podziału władz*, [w:] *Komentarz. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej*, red. M. Haczkowska, Warszawa 2014, s. 23. Odseparowanie niekoniecznie pozostaje w sprzeczności z równowagą, a nawet wydaje się jej sprzyjać, gdyż zmniejsza ono skuteczność nacisków, oddziałujących w silniejszy sposób wówczas, gdy często dochodzi do interakcji między konstytucyjnie wyróżnionymi sektorami władzy. Tym niemniej zasadnicza obserwacja odnośnie braku rzeczywistej równowagi jest słuszna. W każdym przypadku jest ona niezwykle trudna, a właściwie niemożliwa do osiągnięcia i należy ją raczej traktować jako pewien ideał, z założenia zbyt trudny, aby można było poważnie myśleć o jego urzeczywistnieniu. Władza ma naturalną skłonność do najbardziej jaskrawego prezentowania swoich możliwości w odniesieniu do ogółu w pozasądowej sferze i bynajmniej nie przypadkowo pisze się i mówi o parlamentarno-gabinetowym systemie rządów, z czego wynika, że władza sądownicza znajduje się na może szlachetnym, ale jednak marginesie procesu władania.

Zastanawiające jest to, że wymiar sprawiedliwości podlega niewielkim zmianom, co z jednej strony wzbudza podziw ze względu na trwanie w staroświeckości, immunizujące na rozmaite niekoniecznie dobre nowinki, ale z drugiej stwarza poważne ryzyko rosnącego odstawania od Ducha Czasu. Na aktualnym etapie rozwoju nałożył on ludowładcze wdzianko, o czym jednoznacznie przypomina nam art. 4 Konstytucji, wykluczający przy dosłownym rozumieniu istnienie jakiegokolwiek nie mającej wyraźnej oddolnej legitymizacji władzy. Tymczasem w przypadku sądownictwa dysponują nią jedynie spełniający marginalną rolę ławnicy, w ogóle nie dopuszczani do orzekania na wyższych szczeblach sądowej maszyny. Pozostają oni zdecydowanie w cieniu zawodowych sędziów, obejmujących swe etaty niezależnie od tego, czy cieszą się popularnością plebejskich mas czy też niekoniecznie. Taki stan rzeczy jest niemożliwy do pogodzenia z ludowładczym paradygmatem, tym niemniej nie zanoszą się na to, aby miał się on zmienić, co zresztą w optyce przeciwników tyranii większości jest słuszne, gdyż utrzymuje istnienie sfery, w której opinie „zmiennego i płochego ludu” nie mają wpływu na obsadę stanowisk.

W ukształtowanym wskutek oderwania się władzy od wiecowego modelu decyzyjnego schemacie, który zdaje się być typowym dla feudalnej i postfeudalnej Europy, sędziowie są bardziej związani z panującymi niż z poddanymi, przekształconymi wskutek rewolucyjnych przemian w poddanych. Statystyka rozstrzyga o tym, że stanowią oni zdecydowaną większość podsądnych, w związku z czym taki model może być interpretowany jako przeciętnie stwarzający domniemanie większego obiektywizmu niż wówczas, gdyby osądzający byli klasowo, stanowo czy też socjalnie powiązani z osądzanymi, bo przecież w poszerzonej wersji zasadę *nemo iudex in causa sua*⁷ można in-

⁷ Gdy wnikiemy w jej treść, to niechybnie dojdziemy do konkluzji, że sztywne trzymanie się jej przesłania skutkowałoby wykreowaniem potężnych trudności w funkcjonowaniu dzisiejszych ludowładczych państwowości. Wszak opierają się one na protagorasowym zawołaniu πάντων χρημάτων μέτρον ἄνθρωπος (*panton chrematon metron anthros*) w jego radykalnej interpretacji, głoszącej, że konstytuowane przez przeciętne ludzkie jednostki wielotysięczne, a nawet wielomilionowe ludzkie masy same dla siebie są „sterem, żeglarzem, okrętem i miarą”, co oznacza hołdowanie daleko idącemu antropicznemu optymizmowi, zakładającemu, że ludzkość w racjonalny sposób poradzi sobie sama z sobą także wówczas, gdy sama siebie będzie osądzać, samodzielnie kierować własnymi poczynaniami i suwerennie stwarzać prawa na własny użytek. Taka wizja bierze się z zauroczenia russowskim przekonaniem co do tego, że zasadniczo *genus humanum* jest przesycony dobrocią, tyle że ustrojowe uwarunkowania nie

terpretować jako zalecenie sprawowania wymiaru sprawiedliwości przez osoby możliwie daleko odległe od tych, którzy stają przed obliczem sądu. Wynikałoby z tego, że należy unikać zarówno sądu gromady, jak i wszelkich derywacji tego pierwotnego zjawiska, jawiącego się jako trudno przystawalne do dzisiejszych standardów, nakazujących możliwie daleko posuniętą obiektywizację wyrokowania. Okazuje się zatem, że sędziowie, jeśli mają należycie spełniać swoje posłannictwo, powinni być wyłączeni z ludowładczego paradygmatu, bo przecież w jego współczesnej wersji zakłada on udział kandydatów w demagogicznej licytacji na obietnice⁸. A przecież trudno oczekiwać, żeby obywatele oddawali swój głos na ludzi, obiecujących im, że będą ich traktować „z nieodłączną od rudymentarnej Sprawiedliwości surowością”. Dlatego też wypada uznać, że utrzymywanie np. w Polsce zasadniczo elitarnego, nasączonego arystokratycznym pierwiastkiem systemu judykacyjnego nie jest najgorszym rozwiązaniem, choć rzecz jasna zawsze można się zastanawiać nad opcją zastąpienia go lepiej gwarantującym niezawisłość modelem⁹.

pozwalają na jej należyte wyeksponowanie. Według tego przekonania należy zatem doprowadzić do możliwie maksymalnej subiektywizacji systemu sprawowania władzy poprzez emancypację „uciśnionych mas”, które po zrzuceniu krępującego ich poczynania „staroreżimowego kaftana” stworzą Doskonały Porządek. Jego utrwalenie i rozpowszechnienie oznaczałoby świecki Koniec Historii, charakteryzujący się globalnym upowszechnieniem Wolności, Równości i Braterstwa. Kto chce, może wierzyć w taki scenariusz przyszłych dziejów ludzkości, natomiast płaski sceptycyzm skłania do wątpienia w taki przebieg wydarzeń, poddający w wątpliwość starotestamentowe przekonanie o fatalnym naznaczeniu Adama i Ewy oraz ich potomstwa pierwotnym grzechem, odradzającym się w różnych złych poczynaniach, nieuchronnie następujących wskutek niezmienności skłonnej do fascynacji Złem ludzkiej natury, niepodlegającej sanacji niezależnie od najpiękniejszych nawet komunistycznych majaków.

⁸ W hołdujących radykalnej demokracji starożytnych Atenach zdawano sobie sprawę z tego zagrożenia i z tego względu uciekano się do losowania, uważanego za doskonałe remedium na wszelkiego rodzaju demagogię, w związku z czym potężne liczebnie sądy były obsadzane właśnie za pomocą kleromancji. W naszych czasach powiela się ten wzorzec w niektórych północnoamerykańskich stanach, natomiast europejskie elity są przekonane co do tego, że nie ma alternatywy dla wotokracji, gdyż odejście od niej oznaczałoby podważenie fundamentalnej dla nowoczesnego ludowładztwa wiary w racjonalność podejmowanych przez oświecone masy lub ich jeszcze bardziej światłych przedstawicieli decyzji. Zob. A. Ławniczak, *Losowanie w sferze publicznej między wróżeniem a głosowaniem*, Bielany Wrocławskie 2012, passim.

⁹ Historia poucza, że pozasądowa władza ma największe trudności ze spacyfikowaniem czy też kompatybilizacją judykatury wówczas, gdy ma ona najbardziej wsobny charakter. Przejawia się on w hołdowaniu naturalnej zasadzie dziedziczenia stanowisk, co sprawia, że zewnętrzne

Swoistość czy też oryginalność sądownictwa w optyce nie będącego tylko formalnym podziału władzy jawi się jako prawidłowe zjawisko, które jednakże nie jest kompatybilne z „jedynie słusznym” ludowładztwem, przedstawianym w dominującej narracji jako bezalternatywne rozwiązanie ustrojowe, będące zwieńczeniem dotychczasowej historii ludzkości. Wydaje się jednak, że niekoniecznie jest ono panaceum na wszelkie gnębiące potomstwo Adama i Ewy bolączki. Takie stanowisko zajmuje w każdym razie rodzimy prawodawca, hołdujący wciąż idei dzierżenia wymiaru sprawiedliwości przez wyróżniających się spośród ogółu klerków, urzeczywistniających ideę konieczności nasycenia „grupy trzymającej władzę” merytokratycznym pierwiastkiem. Przejawia się on w wymogu odbywania studiów, a następnie aplikacji, będących *conditio sine qua non* zasiadania na sędziowskich stołach. Zasadniczo okupują je, kolaborując w nakazanym przez demofilny paradygmat rozmiarze z „czynnikiem społecznym”, wykształceni zawodowcy, ucieleśniający przekonanie co do tego, że wieloletnie studiowanie jurystycznych aspektów rzeczywistości sprawia, iż uzyskuje się właściwe rozeznanie w problematyce wymierzania Sprawiedliwości, co bynajmniej nie jest takie oczywiste¹⁰. Trzymanie się tego modelu oznacza, że przyznaje się słuszość prerewolucyjnemu, przesysconemu monarchiczno-arystokratycznym pierwiastkiem schemato-

czynniki mogą oddziaływać co najwyżej na kształt zawieranych przez sędziów małżeństw. Będąca ich owocem progenitura obejmie w przyszłości zajmowane przez rodzica stanowisko, co uwalnia ją od konieczności podejmowania jakichkolwiek starań, odnoszących się do objęcia należnych z racji z krwi urzędów. Taki *modus operandi* jak najbardziej ma monarchiczny charakter, co potwierdza przekonanie odnośnie pierwotnego związku monarchiczności z judykaturą, wciąż przejawiającego się w niektórych królestwach w postaci wydawania wyroków w imieniu monarchy.

¹⁰ Gdyby konsekwentnie stanąć na gruncie tego przekonania, to wypadałoby przyznać prawo do osądzania radom jurystycznych fakultetów, przedstawiającym wszak teoretycznie najbardziej intensywną kondensację prawniczej wiedzy. Zdrowy rozsądek nakazuje jednak unikania takiego rozwiązania, gdyż prowadziłoby ono zapewne do uwikłania się obdarzonych władztwem uczonych instytucji w niekończące się debaty, odzwierciedlające daleko posunięty pluralizm przekonań, nieodłącznie towarzyszący swobodzie badań, prowadzącej do relatywizacji wszelakich dogmatów. Typowe dla naznaczonych teoretycznością prawników „mędrkowanie” wypada uznać za gnoseologicznie płodne, lecz niebezpieczne wówczas, gdyby próbować przenosić je *in extenso* w nacechowaną koniecznością podejmowania szybkich i skonkretyzowanych decyzji sferę władania. Zdawał sobie doskonale z tego sprawę Bismarck, gdy podobno wypowiedział znamienną frazę *Acht und Achtzig Professoren, Vaterland du bist verloren*.

wi, który w sferze sądowniczej jest prolongowany, z czego wynika, że w takich państwach jak Polska uważa się, że ma on więcej zalet niż wad. Oznacza to nie wyrażane *expressis verbis* przekonanie co do tego, że lepiej nie przesadzać z nachalną demokratyzacją społeczno-politycznej rzeczywistości. Być może zwykli obywatele nie bardzo życzą sobie, aby ich poczynania osądzali w zinstytucjonalizowany sposób podobni do nich, pozbawieni wyróżniającego nimbu ludzie, obciążeni wszystkimi typowymi dla prostaczków wadami.

Uzasadniona jest obawa, że zbyt łatwo ulegliby oni „możnym świata tego”, a praktycznoustrojową przesłanką takiej hipotezy jest typowy dla obowiązującego systemu *modus operandi* krajowych ławników, zgadzających się zazwyczaj z pokorą na proponowane przez zawodowych sędziów rozwiązania. Taki stan rzeczy wypada uznać, poza zwykłym lenistwem, nakazującym odruchową aprobatę proponowanych rozstrzygnięć, za wyraz szacunku dla merytokratyczności, traktowanej jako szczególnie istotna właśnie w odniesieniu do wymiaru sprawiedliwości. Dzieje się tak zapewne dlatego, że jego poczynania dotyczą bezpośrednio konkretnych ludzi, łatwo dostrzegających istnienie bezpośredniego związku między poczynaniami łamiących prawo jednostek a dotyczącymi je karnoprawnymi skutkami. Mechanizm ten jak najbardziej odpowiada wciąż cieszącej się sporą popularnością nad Wisłą i Odrą katolickiej wizji grzechu i pokuty oraz socjalistycznemu zawołaniu „każdemu według zasług”, co sprawia, że związek popełnionego przestępstwa z nakładaną na złoczyńcę karą jawi się jako z jednej strony naturalny, a z drugiej potencjalna dotkliwość tej drugiej sprawia, że w powszechnym przekonaniu lepiej jest, aby była ona orzekana przez dobrze znające prawo osoby¹¹.

Hołdowanie takiemu przekonaniu sprawia, że nie odtwarza się obowiązującego w starożytnych Atenach paradygmatu, opartego na istnieniu potężnych, kilkusetosobowych ciał sądzących, składających się z kleromantycznie wybra-

¹¹ W polskim, odziedziczonym po PRL-u, modelu sądownictwa, rozstrzygnięcie o karze i winie jest powierzone temu samemu podmiotowi. Nie musi tak być, o czym świadczy anglosaski schemat, w którym winę ustalają sędziowie przysięgli, natomiast o rozmiarze ewentualnej kary rozstrzyga zawodowy sędzia. Taki podział ról jest bardziej zgodny z zasadą podziału władzy, która w tym wypadku zmusza przedstawicieli społeczeństwa do samodzielnego rozstrzygania. Wprawdzie w ławniczym wariacie teoretycznie mają oni większe możliwości, ale nie korzystają z nich, co *nota bene* skłania do zadumy nad słuszością modnego przekonania o konieczności rozszerzania demokratyczności tak daleko, jak to jest możliwe, skoro przedstawiciele szerokich mas niekoniecznie wykorzystują przyznane im kompetencje.

nych obywateli. Na najwyższych szczeblach rodzimego sądownictwa idea bezpośredniej elekcji nie obowiązuje i nie zanosi się, żeby do niej nawiązano. Podobnie jest, jeśli chodzi o trybunały, choć w ich wypadku mamy do czynienia z większym natężeniem ludowładczego pierwiastka. W przypadku Trybunału Stanu przejawia się on nawet w tym, że poważna część jego członków jest „trybunalskimi ławnikami”, pozbawionymi jurydycznego cenzusu. Są natomiast oni, podobnie jak ich obdarzeni dyplomami prawniczych fakultetów koledzy z TS oraz ludzie obsadzający Trybunał Konstytucyjny, wybierani przez najważniejszą emanację społeczeństwa w postaci Sejmu, co skutkuje upolitycznieniem, nieodmiennie idącym w parze z demokratyzacją.

Owa głośna idea nie sprawia jednak, że podczas obsadzania TK rezygnuje się z ponoć reakcyjnego cenzusu wykształcenia, który, jak się okazuje, ma się w najlepsze wówczas, gdy ustala się skład personalny kluczowej, przynajmniej jak do tej pory, instytucji w polskim systemie prawnoustrojowym. Oznacza to, że organ mający stać na straży ludowładztwa w jego prawnonormatywnym wymiarze ma dosyć luźny związek z demokratycznością. Jest to co prawda zrozumiałe w perspektywie zróżnicowanej tożsamości instytucji władzy państwowej, co stwarza efekt w postaci zachwalanego przez Polibiusza ustroju mieszanego, ale sytuacja tego rodzaju każe się głęboko zastanowić nad oficjalnie głoszonym przekonaniem o dokonanej po 1989 r. demokratyzacji społeczno-politycznej rzeczywistości w Polsce. Można wręcz dojść do przekonania, że nastąpił regres, ponieważ bardziej ludowładczo legitymowany Sejm został zmuszony przez ustrojodawcę do uznania ostatecznego charakteru orzeczeń Trybunału, mogącego skutecznie kwestionować podjęte przez parlament rozstrzygnięcia. Nietrudno jest dopatrzyć się w przyjęciu takiego rozwiązania przesadnego wzmocnienia władzy sądowniczej, co podważa tradycyjne dla demokracji przekonanie, że racja przysługuje większości, która po przegłosowaniu podczas obrad zgromadzenia ludowego czy też wiecu obowiązującego od tej pory stanowiska zbiorowego suwerena formalizuje swoją arytmetyczną przewagę, przekształcającą się w niepodważalne rozstrzygnięcia, przy czym część spośród nich tworzy nowe prawo¹². W niezłomnie demokratycznej

¹² Mniej więcej właśnie taka jest doktrynalna podbudowa stanowiska zajętego przez Prawo i Sprawiedliwość w konflikcie z opozycyjnymi ugrupowaniami, uciekającymi się w sytuacji ewidentnego zdominowania legislatury przez PiS oraz jego akolitów do intensywnego popierania TK, w którym po powyborczej zmianie na Wiejskiej wciąż jeszcze „stary układ”

narracji sądy czy też trybunały powinny je potulnie stosować bez podejmowania jakichkolwiek prób kwestionowania tego, co jest jurydycznym wyrazem jedynie słusznej w russowskim rozumieniu *Volonté Générale*, ustanawiającej jednakowe dla wszystkich prawo, obowiązujące zarówno prostaczków, jak i wyedukowanych członków współkonstituujących judykaturę gremiów.

Tak właśnie brzmi maksymalistycznie zdoktrynalizowana zasada równości wobec prawa, w swoim instytucjonalnym wymiarze zawierająca dyrektywę osądzania przypadków naruszania prawno-normatywnego porządku przez stypizowane, zuniformizowane ciała, tworzone w personalnym wymiarze według takich samych przypisów i działające na podstawie jednakowych materialnoprawnych i proceduralnych przepisów. Oznacza to, że jurydyczny egalitaryzm nie dopuszcza opcji tworzenia jakichkolwiek szczególnych sądów, *nolens volens* odwołujących się do przedrewolucyjnej tradycji niejednakowego sądownictwa, który to model był kompatybilny z oficjalnie zróżnicowanym, podzielonym na nierównoprawne stany społeczeństwem.

Zastanawiające jest to, że nawet w Polsce Ludowej nie zrealizowano pociągającej progresywne umysły wizji maksymalistycznej egalitaryzacji zgłajszachtowanego ponoć społeczeństwa w prawnym wymiarze. Istniały przecież mające feudalny rodowód immunitety, ale dla nas tutaj szczególnie interesujące jest to, że w strukturze wymiaru sprawiedliwości przetrwały sądy wojskowe, nie będące niczym innym niż *residuum* niegdysiejszego przekonania o szczególnym znaczeniu tych, którzy „w rycerskich stanicach zasłaniają Ojczyznę murem z własnych piersi”¹³. Oprócz tego rodzaju, wykazujących się

trzymał się nieźle. Trybunał został uznany przez wielu przeciwników rządzącego ugrupowania za symbol oporu stawianego „dyktatorskim zapędem” w imię obrony zagrożonej demokracji, co świadczy o pewnym pojęciowym zamieszaniu, gdyż ta druga w swojej radykalnej, a zatem konsekwentnej postaci, wyraża się w hasle *the winner takes all*, w czym przeszkadzają rozmaite instytucjonalne utrudnienia, mające chronić interesy czy też wartości, uznawane widocznie przez ustrojodawcę za godne tego, aby nie poświęcać ich w imię „rozszałalej demokracji, tłamszącej wszystko, co staje na jej drodze po to, aby bezlitośnie ustanawiać tyranie większości”. Sprzeciwiający się jej TK posługuje się orężem konieczności przestrzegania porządku konstytucyjnego, będącego przecież czymś innym niż majorytokracja, w związku z czym prawnopolityczna logika nakazywałaby uznać „złośliwy areopag z Szucha” za symbol walki o utrzymanie nomokratyczności, zagrożonej przez „bezwzględny populizm”.

¹³ Szlachecki ekskluzywizm, *nota bene* mający całkiem spory rozmiar, skoro odnosił się on podobno do 10% ogółu, został po ustanowieniu II Rzeczypospolitej rozmyty wskutek powszechnego poboru, co sprawiło, że zasadniczo każdy mężczyzna mógł stać się stroną

nadzwyczaj wyrazistą szczegółnością sądów, wypada jeszcze zwrócić uwagę na trybunały, ubogacające rodzimą rzeczywistość prawnopolityczną porzucając od lat 80-tych, kiedy to schyłek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej obrodził narodzinami nowych bytów, rozsadzających samym faktem swojego istnienia schemat socjalistycznej demokracji, unikającej na konstytucyjnym gruncie „mnożenia bytów ponad konieczność”.

Gdy owa ockhamowska dyrektywa straciła swój urok na rzecz przekonania co do konieczności „podniesienia poziomu zaspokajania potrzeb ludności”, doszło do implantacji w naszym systemie prawnopaństwowym podmiotów, rzucających wyzwanie późnonowoczesnemu modelowi jurydycznie zinstytucjonalizowanego wyrokowania. W socjalistycznym wydaniu opiera się on na założeniu unikania elitaryzmu, za bardzo kojarzącego się z „upokarzającymi maluczkich mediewalnymi ciemnościami”. Z tego względu unikano tworzenia sądów dla wybrańców, których teoretycznie po pozbawieniu immunitetu mógł skazywać ten sam podmiot, który na co dzień zajmował się zwykłymi obywatelami. Praktyka życia politycznego PRL-u przekonała jednak obserwatorów, że pomimo szczytnych zawałów nieustannie utrzymuje się orwellowski podział na równych i równiejszych¹⁴, co skłoniło ekipę Generała Jaruzelskiego do oficjalnego

postępowania przed sądem zajmującym się sprawami związanymi z obronnością Kraju. Taka zmiana zapewne była poważną przesłanką, uzasadniającą utrzymanie „średniowiecznego reliktu”, który nabrał nowego charakteru po zrealizowaniu rewolucyjnego postulatu „umieszczenia obywatelowi w jednej ręce karty do głosowania, a w drugiej karabinu”. Urzeczywistniona idea *levée en masse* sprawiła, że w odpowiednim wieku każdy mógł stać się oficjalnie członkiem ogólnonarodowych sił zbrojnych, otrzymując związane z tym prawa oraz obowiązki, których naruszenie skutkowało osądzeniem przez składający się z oficerskich ekspertów organem, zastępującym onegdaj rozpatrującym tego rodzaju sprawy wiecem czy też zgromadzeniem wolnych, *ergo* uzbrojonych mężczyzn, będącym rudymmentarnie demokratyczną instytucją. Nie udało jej się przetrwać wskutek społeczno-politycznych przemian, skutkujących profesjonalizacją armii. Wzmocniła ona pozycję korpusu oficerskiego, utrzymującego swoje znaczenie pomimo rewolucyjnych prób egalitaryzacji stosunków w obrębie umasowionego wojska. Nieuchronne podporządkowanie podwładnych przełożonym wciąż znajduje swoje potwierdzenie w sądowym schemacie, gdzie rolę dowódców odgrywają umundurowani przedstawiciele władzy sądowniczej, mający nad podsądnymi jeszcze większą przewagę niż w jej cywilnej odmianie, gdzie unia się sformalizowanego stania na baczność.

¹⁴ Z mniejszym natężeniem występował on w okresie stalinowskim, kiedy to „nikt nie był pewny dnia ani godziny”, co przejawiało się w tym, że niemalże z dnia na dzień osoby znajdujące się na szczytach władzy państwowej mogły zostać pozbawione wolności i oskarżone o straszliwe prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie. W Polsce nie doszło co prawda do skazania

pogodzenia się z tą nieuchronnością i powołania do życia organu, mającego się skupiać na wymierzaniu sprawiedliwości ludziom reprezentującym „grupę trzymającą władzę”. Stworzenie specjalnej instytucji judykacyjnej dla „onych” miało przekonać opinię publiczną co do tego, że również chronieni przez immunitety oficjalni przedstawiciele Narodu powinni się liczyć z koniecznością poniesienia nie tylko politycznej odpowiedzialności za swoje czyny. Taka zmiana w systemie organów państwowych może być traktowana jako wyraz braku zaufania dla wymiaru sprawiedliwości w jego dotychczasowej postaci, nieskutecznego według ustrojodawcy w zakresie skazywania „możnych świata tego”. Uznano zatem, że rozszerzenie zestawu konstytucyjnych bytów o kolejną pozycję będzie jakimś, przynajmniej propagandowym remedium, na rozpowszechnione w masach odczucie deficytu Sprawiedliwości¹⁵.

Jest on trudny do zaspokojenia, podobnie jak skonstruowanie optymalnego modelu państwowości wraz z integralnie w nim obecną judykaturą. Zagadnienie jej miejsca w systemie władczych instytucji może być rozwiązywane w sposób, jaki to czyniono przez ostatnich kilkadziesiąt lat w Polsce, symbolizowany przez NSA, TS oraz przede wszystkim TK. Ze sporą wyrazistością wystąpiła tendencja judykalizacji społeczno-politycznej rzeczywistości, co znalazło swój pośredni wyraz w konstytucyjnej formule rodzimej państwowości, określonej na początku „miłościwie panującej Ustawy Zasadniczej” jako

Gomułki *et consortes*, ale przygotowania do „Procesu Stulecia” były dość daleko zaawansowane, a historia innych „demoludów” poucza, że takie widowisko jak najbardziej mogło zakończyć się orzeczeniem przez „sąd dla każdego” najwyższego wymiaru kary, grożącego zarówno prawdziwie plebejskim naruszytelom porządku prawnego, jak i upadłym eksponentom czółowego eszelonu oficjalnie proletariackiej Partii.

¹⁵ Zperspektywipowiększającego się temporalnego dystansu możemy uznać, że ustanowienie TS raczej niewiele zmieniło w tej sferze, bowiem trudno uznać mierzoną liczbą wyroków aktywność owego sądu dla prominentów za robiącą jakieś szczególne wrażenie. Z drugiej strony wydaje się wszakże, że samo wszczęcie postępowania przed Trybunałem, a czasem nawet medialne spekulacje odnośnie takiej opcji, wystarczają, aby potencjalny podsądny stał się „politycznym trupem”, od którego odwraca się macierzysta partia, pragnąca pokazać, że potrafi dokonać aktu sanacji poprzez usunięcie z własnych szeregów psującej jej reputację „czarnej owcy”. Wynikałoby z tego, że cień Trybunału Stanu bywa groźny, choć prawdę mówiąc osoby, które znajdują się w kręgu branych pod uwagę jako ewentualni przyszli skazańcy zazwyczaj już są zmarginalizowane, w związku z czym istnieje *consensus* wśród poważnych sił politycznych co do tego, że można z nich uczynić sławetne „kozły ofiarne”, zaspokajające popularną wśród wielu maluczkich potrzebę napawania się upadkiem niegdyśiejszych mocarzy.

demokratyczne państwo prawa, a skoro tak, to wypada zwiększyć znaczenie prawników, wśród których wyróżniają się sędziowie jako ci, którzy dysponują największym zakresem otoczonej nim jurystycznego wyedukowania władczości. Zjawisko to poniekąd nawiązuje do wczesnej fazy życia państwowości, kiedy to monarchowie dzięki rozstrzyganiu sporów wznosili się ponad zacierzewanymi współplemieńców, do czego nawiązuje figura dostojnego, ubranego w staromodną szatę współczesnego sędziego, spoglądającego z dystansem na typowe dla demoliberalizmu polityczne igrzyska i oczekującego z olimpijskim spokojem na kolejną okazję do wydania wyroku w imieniu Rzeczypospolitej, co stwarza sugestię, że „przemawiający Prawem” judykatorzy mają z nią jakąś szczególną relację, nieosiągalną dla „spoconych w pogoni za władzą” przedstawicieli jej dwóch pozostałych gałęzi.

Wydaje się, że tego rodzaju wizja, uwznioślająca wymiar sprawiedliwości poprzez umowne wyniesienie go ponad przedstawiane jako uwikłane w bieżące rozgrywki i pozbawione aureoli czcigodności inne części aparatu państwowego¹⁶, nie jest przypadkowym zjawiskiem w euroatlantyckiej cywilizacji, do której przynajmniej częściowo przynależy Polska. Znajduje się ona przecież w *Bible Belt*, co oznacza, że judeochrześcijańskie przesłanie rozbrzmiewa w niej całkiem donośnie. W związku z tym starotestamentowa *Księga Sędziów*¹⁷ nie

¹⁶ Motyw ten przypomina starochińską opowieść, w której dwa tygrysy zażarcie się kłapią na jak najbardziej przyziemnym bitewnym poletku, a zdystansowanym obserwatorem tego starcia jest siedząca wygodnie na wysokim drzewie mądra małpa, cierpliwie czekająca na wynik starcia, kiedy to okaże się po raz kolejny, że „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”. Jeśli przypomnimy sobie, że „zgoda buduje, a niezgoda rujnuje”, to zapewne skonstatujemy, że w interesie owej trzeciej siły jest podgrzewanie antagonizmów między ścierającymi się przeciwnikami, z czego wynikałoby, że lansowanie doktryny rozdziału władzy, podkreślającej różnicę między legislatywą i egzekutywą, jest w interesie środowiska sędziowskiego, któremu znacznie trudniej jest uzyskać rozległe wpływy w opartym na zasadzie jedności władzy państwowej ustroju politycznym, gdzie z dużą nieufnością podchodzi się do wszelkiej maści pluralizmów. Sprawia to, że stotalitaryzowana władza niejednokrotnie „stawia na baczność” ludzi „oddelegowanych na sądowy odcinek frontu walki o urzeczywistnienie szlachetnych idei socjalizmu”, co sprawia, że autonomizacja sądownictwa jest marzeniem ściętej głowy, które może być urzeczywistnione dopiero wówczas, gdy przewagę osiągnie demoliberalizm, lansujący wizję „pięknego różnienia się”, przejawiającego się między innymi w akcentowaniu odrębnej tożsamości wymiaru sprawiedliwości.

¹⁷ Pojawiający się w niej protagoniści są charyzmatycznymi bohaterami, wystającymi w miejskich bramach po to, aby na poczekaniu rozsądzać powstające między Izraelczykami

jest pojęciem, którego wybrzmienie nie wzbudza żadnych emocji we współkonstituujących *Corpus Politicus* obywatelach. W naznaczonych potężną anglosaksońską ideologiczną ofensywą czasach są oni poddawani intensywniej propagandzie, opartej na założeniu nieprzypadkowości osiągnięcia przez USA statusu Wielkiego Mocarstwa, co skłania do skonstatowania, że charakterystyczna dla będących pod wieloma względami amerykańskim Nowym Izraelem Stanów Zjednoczonych skłonność do jurydyzacji i judykatyżacji rzeczywistości społeczno-politycznej jest jak najbardziej słusznym zjawiskiem, z czego wynika, że należy je implementować gdzie tylko się da. Jeśli staniemy na stanowisku radykalnego czy też konsekwentnego wcielania w prawnopolityczną rzeczywistość owego paradygmatu, to dojdziemy do wniosku, że „usądowienie” ustroju politycznego byłoby sprawdzonym za Oceanem remedium na wszelakie bolączki, gnębiące starokontynentowe państwowości, wśród których bez specjalnego trudu odnajdziemy Rzeczpospolitą Polską. Co prawda nie dokonano w niej dokładnej transplantacji północnoamerykańskiego wzorca, zamiast którego importowano zza zachodniej granicy schemat odznaczający się obecnością Trybunału Konstytucyjnego, tym niemniej jego pozycja w niemieckim, a w konsekwencji również w polskim ustroju politycznym, jest jak najbardziej porównywalna z tą, jaką zajmuje Sąd Najwyższy w USA¹⁸.

spory. Ich historyczne znaczenie wynika wszakże z tego, że niejednokrotnie zdarzało im się wyruszać w pole po to, aby „oddalić wiszące nad Narodem Wybranym nieszczęścia”, ponieważ to właśnie oni byli szczególnie predestynowani do tego, aby „być wysłanymi przez Jahwe po to, aby zażegnać zagrażające żydom nieszczęścia”. W takiej perspektywie jawią się oni jako wykonawcy złowrogiego dla Filistynów i innych stojących na drodze urzeczywistnienia Boskiego Planu nieszczęśników Jedynie Słusznego Projektu, w imię którego należy anihilować wszystkich tych, którzy *nolens volens* stają na jego drodze. Zagadnienie rozmiaru ich winy i ewentualnego zakresu egzekwowania wobec nich odpowiedzialności jawi się jako absolutnie trzeciorzędne w sytuacji przynależności do „przeklętego ludu”, przeszkadzającego w realizacji *Gesta Dei per Iudeos*. Walczące z Hebrajczykami palestyńskie populacje spełniają taką rolę jak wrogie wobec proletariatu w marksistowsko-leninowsko-stalinowskim schemacie klasy, skazane na znalezienie się na engelsowskim „śmietniku historii”, gromadzącym wszystko to, co zostało bezlitośnie rozjechane przez Dziejową Konieczność.

¹⁸ Jankesi odznaczają się dużą skłonnością do symplifyzacji, w związku z czym, *nota bene* wbrew monteskiuszowskim zaleceniom, nie dokonali wtórnego podziału ani egzekutywy, ani judykatury. W przeciwieństwie do nich Kongres uległ rozczłonkowaniu, co sprawia, że utrudniono tworzenie prawa, którego według konserwatywnych przekonań wielu spośród Ojców Założycieli nie powinno być zbyt wiele. Przekonanie to znalazło swoje odbicie

Okazuje się zatem, że wskutek II Wojnie Światowej oraz dekadencji realnego socjalizmu dogmat *rule of law* przybrał w Polsce postać modelu ustrojowego, charakteryzującego się rosnącą rolą władzy judykacyjnej, wzbogaconej o nową jakość w postaci instytucji osądzającej nie ludzi, lecz prawo. Oznacza to, że sędziowie przestali być wyłącznie ludźmi, mającymi posłuszenie wcielać w rzeczywistość zapisane w dokumentach normy, ponieważ niektórzy z nich uzyskali kompetencję oceniania, czy tworzone przez legislatywę przepisy są kompatybilne z konstytucyjnym porządkiem. Przypomnijmy, że przed pojawieniem się nad Wisłą TK sam parlament występował w roli organu oceniającego konstytucyjność kreowanego przez siebie prawa, co z pewnością było bardziej zgodne z konsekwentnie rozumianym ludowładztwem.

W skrajnym wariacie polega ono na tym, że to lud panuje nad prawem, zmieniając je bez specjalnych przeszkód wówczas, gdy chwilowa większość dojdzie do wniosku, że jest to konieczne. Jeśli natomiast stawiamy przeszkody na drodze swobodnej ekspresji prawodawczych zachcianek antropicznego suwerena, to wówczas nieuchronnie wzrasta rola organów stojących na straży stabilnej nomokracji, do której to roli, jak nas poucza prawnopolityczna historia rozmaitych porewolucyjnych, wkraczających na konstytucyjny szlak, reżimów, są szczególnie predestynowane podmioty, składające się z fachowców w postaci prawników, za jakich jak najbardziej wypada uznać sędziów. Ich znaczenie, co najbardziej dobitnie pokazuje przypadek Stanów Zjednoczonych, rośnie wraz z pojawieniem się i umocnieniem zinstytucjonalizowanego konstytucjonalizmu. Wynikałoby z tego, że coraz częściej obwieszczany kryzys konstytucjonalizmu, jeśli owa diagnoza czy też prognoza okaże się słuszna, będzie skutkował spadkiem znaczenia szeroko rozumianej władzy sądowniczej, która powróci do roli stania na straży zwykłego, pozbawionego „konstytucyjnego sznytu” prawa.

na najwyższym szczeblu prawno-normatywnym w szczupłości Ustawy Zasadniczej, wskutek czego zagadnienie zgodności z nią unormowań niższego rzędu jest znacznie mniej rozległe niż w tych krajach, do których możemy *cum grano salis* zaliczyć Polskę, gdzie konstytucje zostały rozdęte ponad miarę. Co prawda rodzimy ustrojodawca nie był tak ambitny jak jego indyjski czy brazylijski odpowiednik, tym niemniej liczący dobrze ponad 200 artykułów „owoc długotrwałego wysiłku parlamentarzystów z obu izb” nieuchronnie stwarza *multum* okazji do kwestionowania konstytucyjności najrozmaitszych przepisów niższego rzędu. Taka sytuacja niewątpliwie stwarza poważną przesłankę dla umieszczania w systemie organów państwowych wyspecjalizowanej instytucji w postaci TK, niepotrzebnej wówczas, gdy prawno-pozytywne *Ius Supremum* jest „krótkie, łatwe i przyjemne”.

Jeśli tak się będzie działo, to być może ewolucja tego rodzaju doprowadzi do ugruntowania się w opinii publicznej przekonania co do mniej więcej jednakowego ontologicznego statusu wszystkich władz, tworzących przecież wspólnie jądro państwowości, co jest istotniejsze od nagłaśnianych po aplikacji monteskiuszowskiego dogmatu różnic pomiędzy nimi. Rzecz jasna nie można negować ich występowania, tym niemniej warto uświadomić sobie, że gdyby miały one przepastny charakter, to państwo rozpadłoby się wskutek niemożliwości kooperacji między jego instytucjami. Oznacza to, że władza sądownicza jest skazana na współistnienie z innymi częściami leninowskiego „aparatu ucisku”, dysponującymi środkami wystarczającymi do tego, aby poskromić ewentualne aspiracje „sędziowszczyzny” do nadmiernej emancypacji. Z jednej strony może ona zostać spacyfikowana przez postanowienia legislatury, znajdującej się przecież w konstytucyjnym trójcłonowym wykazie rodzimych władz na pierwszym miejscu, z czego wynika, że jest najważniejsza, bo to przecież przede wszystkim ona kreuje prawnopolityczną rzeczywistość¹⁹. Z drugiej strony w Rządzie zasiada Minister Sprawiedliwości i samo istnienie takiego urzędu rzuca nomenklaturowe wyzwanie wizji niezależnych poczynañ sądownictwa, funkcjonującego wszak w skonkretyzowanej rzeczywistości, charakteryzującej się tym, że korzysta ono z ogólnopństwowych środków budżetowych²⁰, co niewątpliwie nie zachęca do takiego

¹⁹ Jest ona wciąż jeszcze ograniczana teoretycznie w swoich poczynaniach przez TK, ale rozstrzygnięcie ubiegłorocznego sporu o Trybunał sprawia, że „ów przesadnie nadmuchany areopag” wydaje się mieć wierzchołek swojej świetności, przynajmniej póki co, za sobą. Jednakże również wtedy, gdy namaszczone orzeczenia tej instytucji były bez większego szemrania akceptowane przez wpływowych na scenie politycznej graczy, nie była ona w stanie tworzyć korzystnych dla siebie przepisów wysokiego szczebla. Wynika z tego, że co prawda w pewnym zakresie TK spełniał rolę trzeciej izby parlamentu, zastępując zasadniczo jednorodny politycznie z Sejmem Senat, lecz mógł co najwyżej sprzeciwiać się wejściu w życie nowych przepisów, będąc pozbawionym kompetencji ich tworzenia, która jawi się jako najistotniejsza w polskiej ludowładczej nomokracji.

²⁰ Taki stan rzeczy jest logicznym skutkiem procesu centralizacji struktur państwowych, likwidującej przednowoczesne feudalne rozdrobnienie, przejawiające się w tym, że arystokraci dysponowali sporym zakresem samodzielności, wynikającej ze słabości monarchy, muszącego się liczyć z aspiracjami wielkich panów. Wymierzając sprawiedliwość nie musieli się oni oglądać „na to, co powie Stolica”, gdyż byli od niej niezależni, jako że utrzymywali się z własnych zasobów, a zajmowane stanowisko obejmowali bez konieczności wyczekiwania na łaskawą nominację głowy państwa. Byli oskarżani przez przedrewolucyjną propagandę o daleko

orzekania, które mogłoby być odebrane jako „nacechowane antypaństwową zawziętością”.

Ergo wypada uznać, że władza sądownicza jest jak najbardziej porównywalna do innych władczych instytucji, będąc, podobnie jak one, obciążona rozlicznymi wadami i ograniczeniami. Judykatura jest nasączona mającą zdecydowaną przewagę w tej części aparatu państwowego nad demokracją merytokratycznością, opartą na przesłaniu zajmowania się prawem przez prawników, co naraża na zarzut braku obiektywizmu i rutyniarstwa. Nie sprawia to bynajmniej, że jest immunizowana na idące z zewnątrz sygnały, bo przecież „nacisk opinii publicznej” jest trudny do zakwestionowania w doktrynalnie splebeizowanym ustroju. A zatem pomimo wciąż obecnego w sądownictwie konserwatywnego rysu stanowi ono integralną część współczesnej rzeczywistości, obfitującej w niekonsekwencje, paradoksy oraz rozmaite inne niedoskonałości, co sprawia, że niekoniecznie jest ono absolutnie lepsze od swoich wcieleń z poprzednich stuleci i sprzed Okrągłego Stołu, z czego zapewne każdy rozsądny obserwator zdaje sobie sprawę, ale nie zaszkodzi przypomnieć tę prawidłowość, uświadamiającą nam po raz kolejny, że jakiegokolwiek ewentualne reformy judykatury mogą mieć niepożądane skutki, bo przecież nad każdą domniemaną sanacją unosi się francuskie przekonanie co do tego, że *le meilleur est l'ennemi du bien*, o którym warto pamiętać również wtedy, gdy to, co mamy nie do końca jest dobre.

Literatura

Complak K., *Zasada podziału władz*, [w:] *Komentarz. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej*, red. M. Haczowska, Warszawa 2014.

Ławniczak A., *Losowanie w sferze publicznej między wróceniem a głosowaniem*, Bielsko-Białe Wrocławskie 2012.

Torańska T., *My*, Warszawa 1994.

Torańska T., *Oni*, Warszawa 1985.

posuniętą samowolę podczas ferowania wyroków, co jak najbardziej potwierdza ich daleko posuniętą niezależność.